Nr. 26. Lwów, 13. Listopada 1884. Rok VII.

GAZETA DLA WSZYSTKICH

Wychodzi na przemian: w jeden Czwartek: „Dziennik dla Wszystkich“ illustrowany, a „Gazeta dla Wszystkich“ w drugi Czwartek.

Prenumerata wynosi wraz z dodatkami i bezpłatnemi premiami na obydwa czasopisma:

we Lwowie:		na prowincji z przes. poczt.):	
rocznie	9 zł. — ct.	rocznie	10 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ — „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	— „ 75 „	miesięcznie	— „ 85 „

Za odnoszenie do domu dopłaca się odnosicielowi 10 ct. miesięcznie.

W Poznańskiem i Prusach 9 marek kwartalnie — we Francji i we wszystkich innych krajach oraz w Ameryce 6 fr. kwartalnie, które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Numer pojedynczy kosztuje 20 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie przy ulicy Ossolińskich l. 10; gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse. A. Oppelik Stubenbastei, Rotter et Comp. I. Riemergasse 13, Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji Haasenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie n. M. Daube et Comp.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski.**

WSZYSTKO DLA NICH.

OBRAZEK

Karoliny Szaniawskiej.

Pokoik niewielki, umeblowany bardzo skromnie. Są tam dwa duże łóżka, dwa mniejsze żelazne, lakierowana kołyska, stół, komoda i parę krzeseł — konieczne sprzęty, bez których obyć się niepodobna. Siatkowe firanki, wyszywane w przeróżne desenie, kwiatki w oknach i kilka obrazków na ścianie, oto jedyna ozdoba sypialni.

Źle mówimy, gdyż ściśle rzeczy biorąc, prawdziwą jej ozdobą są trzej malcy, którzy właśnie w tej chwili zabierają się do spoczynku.

Najstarszy, siedmioletni, bladawej cery, z wielkiemi czarnemi oczyma, zdradza inteligencję nad wiek rozwiniętą, lecz jest przytem wątły, mizerny.

Drugi, jasnowłosy, rumiany, ma oczy niebieskie, łagodne spojrzenie gołąbka i wesoły uśmiech na ustach, do dużych wisien podobnych.

Trzeci, maleńki ułuścioszek, zasypia szepcąc na dobranoc:

— Józio, — mamy — syn.

Matka pochylona nad kołyską, nuci do snu synkowi. — Mały sybaryta, rozłożył się wygodnie na czystej, choć skromnej pościołce. To jego królestwo — on tutaj czuje się panem... I czyż nim nie jest? — Wszak ma przy sobie najwierniejszą sługę, najpokorniejszą z niewolnic... matkę!

Starsi pobili się o jakiś obrazek, do którego obadwaj równe sobie przyznawali prawa. — Młodszy, Gucio, oświadczył w bardzo stanowczy sposób, że woli go rozciąć na połowę do równego podziału, niż w całości oddać braciszkowi. Adaś nie chciał się na to zgodzić.

Matka zawołała ich do siebie. — Obrazek dostał się Adasiowi. Prawdziwy sąd Salomona.

Po załatwieniu tak ważnej sprawy, chłopcy rozebrali się spiesznie i zaledwie główkami dotknęli poduszek, słodki sen skleił im powieki.

Rozmarzony jednostajnym ruchem kołyski, mały Józio poszedł wkrótce za ich przykładem.

W pokoiku zapanowała cisza głęboka. — Przerywał ją tylko miarowy szept zegaru, ponury, tajemniczy, zdający się mówić: życie ucieka... ucieka... ucieka...

Młoda matka wyjęła z kieszeni zapisaną ćwiartkę papieru. Pismo było ładne, czytelne, skreślone bardzo wprawnym charakterem. — Twarz jej stawała się coraz bledszą, w miarę czytania, a łzy ciężkie, jak grad spadły na papier.

„Kochana moja — było między innemi — nie martw się zbytecznie — pamiętaj, że jesteś matką, — że życie twoje jest dla tych trzech malców nieoszacowanym skarbem. — Czyż niepowodzenie, jakie nas ścigo, pochodzi z naszej winy? Byłem pewny, że dostanę posadę, o której wspominałem ci przed wyjazdem... wszak mi ją przyrzeczono — szło tylko o dopełnienie pewnych formalności. Znalazł się ktoś *z protekcją*, a mnie odsunięto. Powiadają, że niepodobna było postąpić inaczej. — Mój współzawodnik jest kuzynem jednego z naczelników, z tej racji ma pierszeństwo, a ja?... ja mogę poczekać.

„Czy mogę — my tylko wiemy oboje. Nie martw się jednak i nie rozpaczaj, wierna towarzyszko smutnej doli...

Kobieta załamała ręce, z ust jej wydobył się głuchy jęk boleści, oczy łez pełne zaszły krwią.

Popatrzyła przez chwilę na uśmiechnięte twarzyczki synów, potem zerwawszy się z krzesła, przebiegła kilka razy niewielką przestrzeń od kołyski do okna.

Uspokoiwszy się trochę, siadła znowu na krześle obok Józia. — Z głową wspartą na dłoni, zadumała się smutnie. Powoli, w miarę tego dumania, twarz jej zaczęła się ożywiać. po białem czole różne przechodziły cienie, jak gdyby jedne ustępowały drugim, zmieniając się kolejno...

Przed oczyma jej ducha przesunął się cały szereg obrazów. Widziała młodą, hożą dziewczynę, z rozmarzonym wzrokiem i bujną wyobraźnią — wesołą, niby ptaszę, co o jutrze nic nie wie, szczęśliwą i przez wszystkich kochaną.

Obok niej matka, anioł opiekuńczy, rozumna i kochająca, z sercem szlachetnem i wzniosłemi pojęciami. — Dalej ojciec, siostry, bracia i babcia staruszka.

Potem on—ideał—wcielenie marzeń i snów dziewiczej duszy, nie człowiek, lecz legendowy bohater.

Miłość — miłość... epoka czarów i nadziemskich uniesień, wiek szczęśliwości bez granic — cały wiek, a zarazem jedna chwila tylko. Przełom, po za którym zda się, nie było życia, lecz martwota jakaś dziwna, wegetacja rośliny, co o istnieniu własnem niewiedzieć się zdaje.

Potem, w cichy wieczór majowy, wzajemne wyznania, stłumiony szept, w którym słów nie było zbyt wiele, bo uścisk dłoni wymowniejszym był, niż słowa.

Nie pytali, czy mają za co kupić kosztowne meble, utrzymać liczną służbę, wspaniałe apartamenta, ani nawet, czy starczy na zaspokojenie skromnych potrzeb życia.

Czyliż to była miłość?

Niechże kto wątpi, czy słońce świeci czując na swem obliczu promienne jego blaski...

I odbył się ślub cichy po mszy porannej, bez świetnej wystawy, licznych świateł i drukowanych inwitacyj. Panna młoda nie ciągnęła za sobą szeleszczących atłasów i brabanckich koronek, pan młody był wcale nie wykwintnie ubrany. — Jedyną ozdobą była ich własna uroda, jedynem bogactwem — nieskalana dusza i miłość bez granic.

„I nie opuszczę cię aż do śmierci“...,

Do śmierci...

Rzucili się w świat — młodzi, chciwi pracy i przygotowani do niej dostatecznie. — Henryk miał posadę w biurze, Albina znalazła parę lekcyj „na mieście", a w wolnych chwilach zajmowała się szyciem. Żyli pracą i miłością — szczęśliwi!...

Jasne obrazy zaczynają blednąc, — słońce zachodzi w chmurach — czyż pogoda ma trwać wiecznie?

Albina została matką. Aby wykarmić ukochane maleństwo, musiała wyrzec się lekcyj, obiecując sobie, że wynagrodzi to szyciem.

Roboty nie brakło, pracowała też po całych nocach.

W tym czasie straszne dotknęło ją nieszczęście. Straciła matkę. Słodki jej anioł poszedł do nieba.

Cios to był dla niej straszny.

Po Adasiu przyszedł na świat Gucio, potem Józio-pieszczoszek.

Pewnego dnia podczas srogiej epidemji Henryk przyszedł do domu bardzo smutny i blady. Nazajutrz nie mógł się podnieść z łóżka. Przez kilka dni walczył ze śmiercią, czyli raczej walczyli z nią oboje. — Albina nie odstępowała chorego. — Nigdy chyba goretsze modlitwy nie płynęły do tronu Najwyższego.

Zwyciężyli.

Henryk wrócił do pracy, po to, aby ją stracić niebawem. W instytucji, której był nędznym pionkiem, ważne zaszły zmiany. Kilkudziesięciu ludziom pokazano drzwi... Podobny los i biednego rekonwalescenta spotkał.

Ostre rysy brodatych Szylok ów przesunęło się kilkakrotnie po ubogiem mieszkanku.

Wyprzedali wszystko, co w obecnym położeniu okazało się niekoniecznie potrzebnem... Egzystencja rodziny biednego urzędnika stała się naciągniętą struną, która lada chwila pęknąć może...

A dziś, gdy zdawało się nareszcie, że po długich troskach zaświta dla nich lepsza dola, kaprys dygnitarza wtrąca ich w otchłań nędzy, po to chyba, aby ich tam pogrzebać.

Zaopatrzona w kalejdoskop przyszłości własnej, młoda kobieta zaczęła się rozżalać i wpadła w egoistyczne roztkliwienie, w którem ginie zazwyczaj wszelkie poczucie obowiązków, a pozostaje tylko samowiedza własnych cierpień...

Uczuła się zmęczoną, skołataną, — rozbitkiem, który nie wie, gdzie ma złożyć głowę. Duch jej zapragnął spokoju, którego ostatnim wyrazem, jest śmierć.

— Umrzeć! ach umrzeć!.. wyszeptała z cicha.

A co wtedy będzie? — powstało pytanie. Czemże więc jest śmierć?... Czy snem łagodnym, cichym, co o wszystkich troskach zapominać pozwala, czyli też zupełną bezwzględną nicością.

I ujrzała trumnę stoczoną przez robaki, a w niej trupią głowę i trochę kości...

A jednak ponad trumną, na mogile, biała róża, brzózka, lub powoje kwitną. bluszcz oplata ją długim pierścieniem... czerpią soki z ziemi, w której spoczywa człowiek.

— Byłażby to nieśmiertelność, w którą wierzyłam tak uparcie?... Mamże zostać bluszczem, lub powojem, — białą brzozą, czy róży krzakiem?...

— A gdzież będzie mój duch?

Zamyśliła się nad tem pytaniem.

— O duchu matki! — zawołała wśród łez — tyś zawsze przy mnie, czuję twą obecność, rozmawiam z tobą!...

— Tak — on jest przy mnie — cierpię mojem cierpieniem i nie zna pokoju nawet po śmierci, — cierpi z powodu moich łez i niedoli, której zaradzić nie może.

— Więc to jest nieśmiertelność?

— Ciało da życie tysiącom roślin... Gdy zaorzą pola, na miejscu, gdzie był cmentarz bujne wyrosną kłosy, na pożywienie dla następnych generacyj, a dusza pójdzie błądzić wśród ukochanych, drogich sercu istot.

— O nie — to byłoby wiekuistą męczarnią. Bóg nie jest tak okrutny... — Dusza znajdzie spokój, najwyższy stopień szczęśliwości, ostatni jej wyraz i — zaśnie na wieki.

— Pożądany śnie!... — Złowrogie wycie burzy, wiatr zawodzący w noc ciemną stanie się kołysanką, przy której usnę... na wieki...

— Niech inni walczą z losem, niech przeciwności łamią ich uparcie, ja tych walk się nie boję, o nic nie dbam, bo stałam się głazem.

— Cóż to byłoby za szczęście, co za rozkoszny wypoczynek! — Jak miło po długiej, uciążliwej podróży, znaleść wygodne posłanie i ciszę...

Tak rozmyślając uczuła dziwny zamęt w głowie. Przejmujący dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Jakże zimno — wszak nie dawniej, jak przed paroma godzinami palono na kominku.

Szum w głowie, podobny do szumu oddalonej fali, miarowy, jednostajny, wzmagał się z każdą chwilą. — Dreszcz powtórzył się kilkakrotnie, aż otuliła się chustką.

— Co to jest? — pomyślała z niepojem — czyżbym miała zemdleć bez najmniejszego powodu, zazwyczaj tak silna i zdrowa?...

Zaczęła się modlić spoglądając na dzieci, lecz słowa modlitwy plątały się bezładnie. — Nie mogła zebrać myśli. Mały Józio uśmiechnął się we śnie, — chciała przyjść do niego, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa i padła na krzesełko.

Próbowała krzyczeć, gdyż nagle straszna ogarnęła ją trwoga. — Może zemdleje, straci przytomność, a tu wszyscy śpią w całym domu.

Drżała jak liść, śmiertelny chłód mroził jej krew w żyłach — czuła dotknięcie lodu na słabo bijącem sercu, zaledwie mogła oddychać.

— Bóg mnie ukarał za grzeszne pragnienia — wyszeptała w duchu — umieram...

— Umieram...

I bezwładna zupełnie potoczyła się na ziemię.

Przerażona swym stanem, padając, chciała się zatrzymać, uczepić rękami o stół, lub stojące opodal łóżko, lecz zakręciło jej się w głowie, zaciemniło w oczach, i niepodobna już było myśleć o ratunku.

Co za dziwne zrządzenie Boskie...

Śmierć pożądana tak gorąco przyszła na pierwsze jej żądanie.

. . . .

W pokoju było cicho, tylko zegar od czasu do czasu wydzwaniał swoje godziny. Dzieci spały.

Sztywna jak drewno bez tchu i życia, przeleżała tak do rana.

Jasny promień słońca musnął twarzyczkę śpiącego Józia.

Zbudzone dziecię wyciągnęło obie dłonie.

— Mamo! zawołało z wesołym uśmiechem, chodź do Józia!

Nikt mu nie odpowiedział.

Matka leżała na ziemi biała jak płótno, słodkie wołanie dziecka boleśnem echem odbiło się w jej sercu. Dusza jej była jeszcze u kołyski dziecięcia, lecz ciało martwe — zdrętwiałych ust otworzyć nie może.

— Mamo! powtórzył chłopczyk, Józio nie chce spać!

Znowu milczenie.

Nie przyzwyczajony do tak dziwnej obojętności, malec rozgniewał się naprawdę i podniósłszy się z kołyski zaczął krzyczeć z całej siły.

— Mamo! mamo! Józio nie chce spać!

Krzyk Józia obudził starszych braci; wyskoczyli z łóżek, chcąc się ubierać. Adaś ujrzał matkę leżącą na ziemi.

— Guciu, zawołał, patrz mama upadła — podnieśmy mamę,

Ucałowali zimne ręce, myśląc, że śpi, a powolny Gucio pytał starszego brata.

— Powiedź mi Adasiu, dlaczego mama nie położyła się w łóżku. Nigdy tutaj nie sypia.

Zaczęli zmarłą ciągnąć za ręce, chcąc aby się przebudziła. Wołali, krzyczeli, przykładając usta do jej ucha — naprożno, obudzić się nie chce.

Adaś wyjął Józia z kołyski, i tak we trzech pracowali aż do znużenia.

Józio płakał żałośnie powtarzając wśród łez.

— Mamo! mamo! daj buzi...

Po daremnych usiłowaniach położył się biedaczek na ziemi, przy matce, i zasnął wsparty na jej ramieniu.

— Lulu, powtarzał pieszczotliwą, dziecięcą mową — Józio — lulu — u mamy.

Z temi słowy na ustach, zasnął cichym snem anioła.

Adaś pobiegł do kuchni obudzić starą Agatę, która, jak mocno głucha, nie słyszała tej sceny.

Gderząc i sapiąc, niechętnie podniosła się stara.

— Ot, moglibyście spać jeszcze, mówiła z gniewem, kto to słyszał, dzisiejszego dnia

żeby zaś dzieci tak rano się zrywały! Na to chyba tylko, żeby mamie głowę rozkołotać krzykiem, i jeść dwadzieścia razy do wieczora.

Przyzwyczajony rozmawiać z nią na migi, Adaś pociągnął starą do pokoju.

Wyrywając się ze złością, poszła jednak ku drzwiom.

— Chryste Jezu! Krzyknęła zaraz z progu, toć to pani umarła!

Zaczęła szlochać, i głośno zawodząc pobiegła do sąsiadów.

Dzieci zdumione i wylękłe, odsunęły się od matki.

W samo południe przyjechał Henryk. — Co za straszne przywitanie! Zostawił ją w domu zdrową, wesołą, pełną energij i wiary w przyszłość, wraca po tygodniu, i zastaje tylko martwe zwłoki.

Jakże rozpaczał i narzekał — ciężko było słuchać. Tak dobra, kochająca, poczciwa, najtroskliwsza z matek, najwierniejsza z żon...

— Ach! powtarzał przejmującym głosem, jakże ciężko Bóg mnie zasmucił, jak strasznie dotknął biedne sieroty!...

Rwąc włosy z głowy, dopytywał o najdrobniejsze szczegóły dni ubiegłych, lecz głucha sługa nie wiele go mogła objaśnić w tym względzie.

— Ot, mówiła zwykłym, gderliwym tonem, którego pozbyć się nie umiała, nawet w chwilach największej czułości, pani była smutna, miała oczy czerwone, ale to już tak zwykle. Jak dawno tu jestem, nigdy inną nie bywała — nie wiem, czego już tam tyle płakać, co to i Bogu się sprzeciwia i zdrowiu szkodzi. Co ma być, to będzie. — Moja matka, Panie świeć nad jej duszą... I rozgadała się o matce, a Henryk słuchał nie rozumiejąc ani słowa.

Ubrano zmarłą, zapalono światła, dzieci przyglądały się ciekawie. Niezwykły ruch panujący w domu bawił je i zajmował. Jeden tylko Adaś płakał kryjąc się po kątach, znać że choć w części rozumiał nieszczęście, jakie go spotkało. Gucio patrzył zdumionemi oczyma, nie mając odwagi zbliżyć się do zmarłej.

— Taka zima — mówił — ja się boję.

Ucieszony widokiem tylu świec, mały Józio biegał wołając wesoło.

— Mama śpi — mama!

Całował ją, kazał co chwila nieść się do zmarłej — on jeden nie czuł lodowatego zimna dłoni matczynych.

Zamknięto trumnę wśród krzyku trzech malców, i zaniesiono ją na cmentarz.

Odbył się pogrzeb skromny, prawie ubogi — nie było czem opłacić wspaniałego karawanu.

Za trumną szedł Henryk ze starszym synem i spora garstka znajomych.

Gucio już spał — stara Agata kołysała Józia mrucząc ze złości:

— A bodajże cię — bez ciebie nie mogłam jej usłużyć na ostatek — będzie mnie teraz straszyła po nocach.

Rzucono piasek na trumnę — kumoszki przerywały słowa pacierza głośnemi uwagami.

— Taki młody i przystojny mężczyzna — pewno niedługo się ożeni.

— O tak, — to wiadomo — mąż znajdzie drugą żonę, a nawet i trzecią, ale dzieci nie znajdą już matki...

A więc jasną już jest dla niej zagadka, nad której rozwiązaniem nieraz łamała sobie głowę! Umarła, lecz żyje, i żyć będzie na wieki. Marzenie o cichym, ciężkim śnie, nie urzeczywistni się nigdy.

Duch jej przebywa jednocześnie w nadziemskiej krainie światłości, pojąc się boską harmonją wzniosłych melodyj, i tutaj w krainie łez... Jest w otoczeniu istot wybranych, pełnych doskonałości i nędznych robaków, których imię — człowiek.

Zamieszkała, w wszechświecie.

O, jakże radaby napowrót odziać się w ciało, wrócić na ziemię do obowiązków, trosk i niepokojów, wśród których spływało życie, byleby nie patrzyć bezczynnie na nędzę sierot!...

Zapóźno — już zapóźno! Raz tylko jeden Chrystus wskrzesił Łazarza. Wyrodna matka nie jest godną cudu...

Smutnie płynęło życie trzech osieroconych malców.

Ojciec dostał wprawdzie dobrą posadę i na utrzymanie starczyło im teraz, lecz Agata była przykrą opiekunką.

Prosta jej natura nie umiała się nagiąć do nowych obowiązków; najmniejszy kaprys którego z chłopców doprowadzał ją do szalonego gniewu, a splamienie sukienki wywoływało surową karę.

Gniewało ją, gdy jeść nie chcieli, gderała, gdy jedli. O ile musiała się powstrzymywać w obecności pana, o tyle wynagradzała to sobie, gdy poszedł do biura...

Ona kochała biedne sieroty, nie umiejąc swych uczuć objawić w szlachetniejszy sposób. Była pewną, że jak najsumienniej spełnia to, co do niej należy. Wszak i ją biła, a nawet przeklinała matka, ojciec połamał niejeden kij na jej plecach, a przecież kochali ją oboje — była jedynaczką...

Szczególniej Adaś nie miał szczęście do starej.

Zdolny i nad wiek rozwinięty, widział wielkie wady nowej opiekunki; nieraz umyślnie wywrócił butelkę z wódką, ukrytą gdzieś w kącie, lub nasypał piasku do tabaki. Podobne psoty wywoływały straszną burzę, i przymusowy post aż do obiadu. Post ten trwałby może nieraz i dłużej, lecz Agata nie była pewną, czy pan go pochwali, czyli też może wykrzyczałby ją przy dzieciach.

Obawa pańskiego gniewu była jedynym hamulcem.

Adaś nie miał zwyczaju skarżyć się przed ojcem. Czasem tylko, gdy koścista pięść baby spadła ciężko na jego plecy, powtarzał cichym szeptem, tłumiąc łzy gwałtem do óczu się cisnące:

— Mamo! mamo... gdybyś ty to widziała!...

Dusza matki przechodziła całe piekło boleści. Udręczona tym widokiem, rada była porwać biedną ofiarę i unieść ją wysoko — do nieba... Lecz Bóg kazał sierotom żyć na udręczenie dla ich rodzicielki. — Wszak porzuciła swoje pisklęta, aby zyskać spokój dla siebie.

Ach! ciężki to spokój!!...

Pewnego dnia Henryk wrócił do domu znacznie później niż zwykle. Był wesoły i starannie ubrany.

Uściskał dzieci, wziął Józia na kolana i rzekł po krótkim wstępie:

— Słuchajcie chłopcy, powiem wam coś ważnego.

Badawczy wzrok Adasia zmięszał go trochę.

Gucio zajął się piłką, a Józio targał ojca za wąsy, wykrzykując wesoło.

— Powiem wam bardzo ważną nowinę — powtórzył ojciec, akcentując każdy wyraz.

— Co tatunio nam powie?

— Niedługo przybędzie do was mama.

— Mama? — zapytał Adaś — tatko chyba żartuje, wszak umarli z grobów nie wstają.

— O! — zawołał Gucio — Agata mówi, że mamę dawno już robaki jedzą!

Twarz Henryka pokryła się bladością.

— Tatku! — po chwili odezwał się Adaś — ja bardzo ją kocham, lecz proś, niech nie przychodzi, bo ja umarłych się boję.

— A ja robaków — dorzucił Gucio. Tam pewno muszą być i pająki — nie cierpię pająka. Ma tyle nóg i zjada muchy.

Józio słuchał z zupełną obojętnością, słodki wyraz: matka, stał się dla niego pustym dźwiękiem, którego nie rozumiał.

Ojciec próbował jeszcze trafić synom do przekonania.

— Tak — rzekł po chwili — posłuchajcie uważnie, i chciejcie mnie zrozumieć. Tamta mama umarła, lecz Bozia daje wam inną.

— Czy przyniósł ją bocian? — zapytał Gucio, który słyszał przed godzinami, że synkowi pani Latomskiej wielki ten ptak przyniósł w dzióbie braciszka.

Naiwne pytanie malca zamiast rozśmieszyć, rozgniewało Henryka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nadesłane.

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo: Stanisław Wuffka. Z drukarni „Dz. pol.“ pod zarządem J. Mittiga.